

Krzyż

22 stycznia 2017

Kiedyś była tu niezbyt szeroka szosa z Pruszkowa do Warszawy. Czasem przejechała furmanka, czasami przemknął samochód. Ale częściej spotykano zające uganiane się po polach kałafiorów, marchwi i kapusty, z rzadka tylko poprzecinanych łąkami złocistych zbóż. Szaraki miały tu przysmaków w bród.

Choć w oddali widać było Warszawę z górującym nad nią Pałacem Kultury, to cisza była tu i spokój. Nad polami uwijały się pszczoły zbierające nektar, w powietrzu leciutko unosiły się setki kolorowych motyli, a w krzewach bzów, dzikich róż i kępach olszyny śpiewały ptaki. Właśnie te zielone wyspy wolno rosnących drzew i krzewów były mekką wagarowiczów i par zakochanych. I ja tu przychodziłem ze swoją dziewczyną na długie spacerory. Aby dotrzeć do tego rajy, przechodziliśmy z Irenką obok stacji końcowej kolejki WKD we Włochach i brukowaną ulicą dochodziło się do szosy pruszkowskiej. Tu było skrzyżowanie. Dalej w kierunku Rakowa bruk przechodził w polną drogę. Systemem dróg gruntowych, po których z rzadka tylko przejeżdżał skrzypiący konny wóz, można było dotrzeć do Szczęśliwic, albo idąc w przeciwnym kierunku do Okęcia lub Opaczy. Ale zatrzymajmy się na skrzyżowaniu. Tu w niewielkiej odległości od szosy, stał krzyż. Wielki – jak nam się wydawało – poszarzały już ze starości drewniany krzyż. Stał majestatycznie, górując nad wszystkim dookoła, sławiąc chwałę Chrystusa.

To były czasy mrocznej komuny, kreującej materializm jako podstawę wszelkich przejawów rzeczywistości. A mimo to prawie wszyscy przejeżdżający tamtędy żegnali się pobożnie. Każdy, kto przechodził w pobliżu, zdejmował czapkę z uszanowaniem. I nam przypominał o grzechu cudzołóstwa, dlatego spacer zostawał tylko spacerem, aczkolwiek święci nie byliśmy, o nie.

Kiedyś spotkaliśmy przy krzyżu staruszkę zmieniającą kwiaty w

glinianym wazonie. Zapytałem, ile ten krzyż ma lat. I choć pamiętała go od dzieciństwa, nie potrafiła odpowiedzieć. Na zakończenie rozmowy powiedziała tylko: stary już jest i widział tutaj niejedno!

O tak. Obok tego krzyża, już 8 września 1939 roku zaczęły gromadzić się zagony 10 armii niemieckiej, by następnego dnia uderzyć na Warszawę. W tym ataku hitlerowcy ponieśli klęskę. Czołgi, którym udało się wdrzeć na ul. Grójecką, już stamtąd nie wracały.

W pięć lat później szosą obok krzyża pędzono kolumny warszawiaków do obozu w Pruszkowie. Ileż nadziei dawał ten samotny krzyż wynędzniałym, głodnym i rannym ludziom z ruin powstańczej Warszawy? Bo on stał niczym nie zwyciężony, bohaterski generał na naszym polskim szańcu z rozpostartymi ramionami, jakby chciał objąć, utulić i dodać otuchy każdemu z tysięcy warszawiaków idących na poniewierkę, w nieznane jutro.

Później, aż do zimy 1945 roku snuły się dymy zmieszane z jesiennymi mgłami wokół starego krzyża, skąd rozpościerał się widok umierającej stolicy. Aż przyszedł czas, kiedy resztki germańskich barbarzyńców pierzchały w popłochu szosą do Pruszkowa i dalej, skąd przyszli.

Mijały lata. Szosę pruszkowską przebudowano w dwupasmową jezdnię, stanowiącą przedłużenie Alei Jerozolimskich. W latach dziewięćdziesiątych rejony po obu stronach jezdni zabudowano. Kiedyś tereny te należały do polskich rolników czy badylarzy – jak ich tutaj nazywano. Dzisiaj właścicielami stają się obce koncerny. Nowe geszefty powstają jak grzyby po deszczu. Jadąc od granicy Warszawy, aż do Dworca Zachodniego nie ma już nic polskiego. No, za wyjątkiem Jednostki Prewencji Policji, która może posłużyć do rozpędzenia demonstracji przeciwko przejmowaniu Polski przez obcych.

Rok dwutysięczny. Krzyż już nie góruje nad okolicą. Niknie w tle zagranicznego biurowca, wyglądając jak dwa krzyżujące się

patyczki. Zdawałoby się, że jest kruchy wobec potęgi ludzkiej myśli technicznej i pieniądza. I znowu wokół krzyża snują się dymy. To smog z tysięcy rur wydechowych jadących Alejami samochodów, wymieszany z jesienną mgłą. W bezpośredniej bliskości krzyża wybudowano aż cztery super czy hiper markety. Do jednego z nich trzeba przejść obok krzyża, który niejedno już widział. Codziennie tysiące ludzi maszeruje obok po zakupy. Wracają tą samą drogą obładowani siatami. W niedzielę tłumy są większe, gdyż ludzie przyjeżdżają tu całymi rodzinami. Lecz krzyża nie dostrzegał już prawie nikt.

Mamy rok 2016. W przeddzień Wszystkich Świętych niekończący się potok ludzki obładowany torbami wiktuałów, zgrzewkami piwa. Nowi warszawiacy będą świętować! W tym roku to aż 4 dni, które można spędzić z browarem w łapie z nochem w telewizorach i oglądać wspaniałe reklamy przerywane serialami. Większość na jeden dzień wyjedzie na groby bliskich.

Zapaliłem lampkę pod starym krzyżem, z którym jestem związany emocjonalnie. Zmarzłem solidnie długo obserwując nowoczesnych Polaków. Nikt nie zdjął czapki z uszanowaniem. Nikt się nie przeżegnał. A przecież każdy chciałby mieć krzyż w miejscu swojego pochówku. Może mniejszy, ale zawsze. Czy tylko po to, aby mówić: „Przechodniu, tu spoczywa katolik?”

Stary weteran, poszarzały krzyż stoi nadal na swoim szańcu i jak generał rozkazuje: „Polaku, zatrzymaj się. Pomyśl chwilę!” Ale czy ktoś go usłyszy?

Autorstwo: Cezary Piotr Tarkowski

Fotografia: [Pexels](#) (CC0)

Źródło: Patriota-Tarkowski.blogspot.com